

Drewniane ściany Domu Modwita huczały od ludzkich głosów, śpiewu i śmiechów. Powietrze było ciężkie od zapachu pieczonego mięsa i napitków. Wszędzie wokół ludzie radowali się i jedli. Mieli dobre powody, to był już koniec, skończyły się wyzwania i znoje ziemskiego życia, nastał czas błęgiego odpoczynku. Nagroda za godziwe życie, tak przynajmniej wydawało się w tym miejscu za Mgłami, miejscu ukojenia i wytchnienia przed niedopowiedzianym "dalej".

A jednak dla niego jedzenie nie miało smaku, a napoje nie gasiły pragnienia. Twarze towarzyszy zdawały się odległe i wyblakłe. W sercu ciążył kamień obowiązków.

Elf uniósł nieco głowę wspominając jak to wszystko się zaczęło.

\*\*\*

Gabinet Elidisa był jak zwykle pełen światła wpadającego przez wielkie okno. Mistrz, a zarazem władca stał przy oknie, sam Mathlan czytał plik dokumentów. Opis misji, cele, miejsca, poufne dane, teorie, fakty, nazwiska, szanse. Czyste szaleństwo. Elidis, który nagle znalazł się tuż przy nim, położył mu rękę na ramieniu.

- Znam ten wzrok Mat. Mogę znaleźć za ciebie zastępstwo, ale wiesz jak ważna jest to sprawa i że ci ufam – uśmiechnął się, jak zwykle, Elidis rzadko rozkazywał woląc prosić swoich ludzi, było to wielokrotnie silniejsze, niż każdy rozkaz.

- Mistrzu, nie zwracaj się do mnie jakbyśmy się nie znali. Niemożliwe to moja specjalność, przyrzekam ci, że zrobię wszystko co mogę by zażegnać ten kryzys.

\*\*\*

To było ledwie kilka miesięcy temu. A może dłużej? Dni i godziny zlewały się w jego wspomnieniach, ani chybi wpływ tego miejsca. To nie było ważne, ważne było, że dał obietnicę, której nie wypełnił. Ale co jeszcze mógł zrobić? Próbował ze wszystkich sił ratować ten wymiar. Porzucił własną moralność, zdradził swoją Ścieżkę by ją chronić. Umarł, do ciężkiej cholery, w służbie Cesarstwu, ale to wciąż było za mało. Kryzys wciąż trwał, ale co miał jeszcze zrobić? Co mógł jeszcze zrobić?

Pozostała ostania możliwość.

Wstał nagle od stołu ze wzrokiem pełnym determinacji. Siedząca obok Vela natychmiast obróciła się w jego stronę, zauważył rękę ładującą na rękojeści miecza. Czujność była wpisana w jej życie. Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem. Uśmiechnął się, przywykł już do rozmowy opartej na gestach. Wskazał głową bramę, natychmiast zrozumiała. Wstała od stołu. Teraz to Mathlan skierował na nią pytające spojrzenie.

- Przecież miałam ci towarzyszyć w tej misji – skinął tylko głową.

Kiedy już stał na progu halli zatrzymał się. Kazał Veli zaczekać, a sam wrócił do środka. Rozejrzał się po sali, parę oczu zwróciło się w jego stronę, ale szybko wrócili do ucztowania. Co on niby chciał im powiedzieć? Żeby porzucili ciepło i wygodę by wrócić do pozoru egzystencji?

- Co żeś się tak zamyślił elfie – znajomy głos wyrwał go z zadumy, Arden stał z jego lewej pociągając solidny łyk z kufła, Mathlan spojrzał się na niego nieobecny wzrokiem. – No nie mów mi, że naprawdę chcesz to zrobić.

- Chcę.

- Wiesz co się stanie?

- Wiem – nastąpiła chwila milczenia.

- Nawet nie próbuj mnie namówić – Mathlan spojrzał mu głęboko w oczy. – Aaa... No dobra, ale zabieram Kallana. Spotkamy się pod bramą, wariacie – klepnął elfa w ramię na odchodne i poszedł szukać przyjaciela.

Elf patrzył się za nim chwilę zdezorientowany. Łatwo poszło, pomyślał. Rozejrzał się w poszukiwaniu Ingrein, ale nie mógł jej dostrzec. Zauważył siedzą przy stole Ingę. Wiedźma zawsze wywoływała w nim mieszane uczucia. Szanował jej umiejętności, ale lata nauki wykształciły w nim niechęć do dzikich i nie kontrolowanych zjawisk magicznych. Byłaby jednak cennym sojusznikiem. Przysiadł się do niej, chwilę milczał zastanawiając się, jak zacząć taką rozmowę. Wreszcie postanowił być bezpośrednim.

- Chciałem cię o coś poprosić, o pomoc. To nie będzie łatwe, ale wierzę...

- Chcesz bym wróciła przez Mgły – powiedziała nie odrywając wzroku od kielicha wina, zamilkł na chwilę.

- Tak. Wiem, że to nie mało, ale twoje umiejętności wielce by się nam przydały.

- Nam?

- Wraz ze mną idą Vela, Arden, Kalan, Ingrein też pewnie się przyłączy.

Podniosła na niego wzrok znad kielicha. Mathlan poczuł jak coś w nim zatrzęsło się pod tym spojrzeniem, lecz nie dał nic po sobie poznać. Jej oczy przepelnione były żalem i gniewem. Zrozumiał w lot. Brat, zesłany w wieczną ciemność. Jednak w oczach kobiety było coś jeszcze, chęć pomocy opuszczonemu przyjacielowi.

- Nad czym tak rozprawiacie? – Strzała pojawił się znikąd, chwilę później przyszła też Aoife.

- Chcemy wrócić do śmiertelnych – powiedział elf przyduszonym głosem.

- Chcesz odrzucić Dom Modwita? – zapytał poważnie Człowiek Leifa, Mathlan tylko skinął głową, spojrzał na Ingę, która uczyniła podobnie. – To jest nas czwórka.

- Chcieliśmy się do was zwrócić w podobnej sprawie – dodała Aoife. – Widzisz najlepsza partyzantka świata walczy nawet z za grobu – przez jej twarz przewinął się uśmiech.

- Dzięki. I będzie nas już szóstak...

- Siódemka – dodał Sigbert, który przysłuchiwał się już jakiś czas rozmowie. – Nie pozwolę, by potem mówiono, że ludzie Leifa wstali z martwych by walczyć za Trynt, a Przedgórze się wahało.

Przez chwilę Mathlan miał wrażenie, że ludzie Leifa wdadzą się w słowną przepychankę, która mogła zniweczyć ich plany. Chciał już się odezwać, ale wtedy Strzała rzekł :

- Za Trynt.

- Za Trynt – powtórzył Sigbert.

Ludzie zaczęli rozprawiać na temat tego co może ich spotkać pośród Mgieł. W swoich badaniach nad teoriami magii Mathlan zgromadził pewną wiedzę na temat domeny bogów, nie mógł jednak przebić się przez żywiołowych Tryntyjczyków. Wreszcie dał sobie spokój, zwłaszcza, że zauważył znikający w drzwiach halli czarny płaszcz ze złotym obszyciem. Pośpieszył na zewnątrz. Vela wciąż stała oparta o framugę drzwi podziwiając firmament gwiazd, zapewne zdawała sobie sprawę, że może być to ostatni raz kiedy je podziwia. Kapłanka stała oparta o drewnianą poręcz, wpatrzona w bramę. Jako potępiona nie należał w pełni do tego miejsca, jej sylwetka była lekko rozmyta, otaczał ją nimb cienia. Pozwolono jej tu przyjść tylko by mogła pożegnać się z przyjaciółmi.

I podjąc decyzję.

Mathlan powoli zbliżył się do kapłanki Eldura. Musiała go usłyszeć, czy może raczej wyczuć, gdyż obróciła się gwałtownie na pięcie. Twarz Laryjki ściągnięta była smutkiem i bólem.

- Całe życie poświęciła służbie bogom. Wypełniałam każde ich przykazanie, każdą prośbę. Nawet tę najmroczniejszą – w głowie elfa pojawił się obraz mordowanej Samboi, jednak szybko udało się mu go pozbyć. – A moją nagrodą jest potępienie?

- Rozumiem cię, siostrze. Jak widać nie tylko nasz świat pozbawiony jest sprawiedliwości – przerwał na chwilę. – Czy mogę cię prosić byś poszła z nami z powrotem przez Mgły?

- A jaki mi pozostał wybór? – mówiła spokojnie, lecz w jej głosie pobrzmiwał doskonale opanowany gniew, zapewne skutek służby bogu sprawiedliwej kary. – Jeżeli bogowie nie przyniosą

nam sprawiedliwości ktoś inny musi to zrobić. Może dane mi będzie zmasać winę – dodała znacznie ciszej, po czym zniknęła, rozplywając się w obłok cienia.

Mag wrócił do karczmy. Do deliberujących grupki dołączyli Kallan i Arden. Ogarnął go smutek i poczucie winy. Nie mieli pojęcia na co się zgodzili. Słowa bogów i aniołów zapewne dawały im jakieś wyobrażenia, ale żadne z nich nie mogło spodziewać się tego co stanie się jak wróca. Elf poznał cenę pozoru nieśmiertelności, wiedział, że gdy opuszczą Dom Modwita nie będzie już dla nich pocieszenia, głód i ból staną się jedynymi prawdziwymi odczuciami, podczas gdy radość i ciepło staną się odległymi marzeniami.

Skazywali się na wieczne cierpienie. Elf zaczął się wahać, chciał do niech podejść, powiedzieć im całą prawdę, uświadomić. Co innego skazywać siebie na taki los, a co innego wplątywać w to innych. Zacisnął pięści ze złość.

- Nie powinno tak być – powiedział cicho, zbyt późno dostrzegając podchodzącego druida.

- Ale jest – zamilkł. – Wracacie? – elf skinął głową. – Przyda się wam zatem ktoś kto już drugi raz jest martwy – uśmiechnął się, a przed oczami elfa pojawiła się scena pierwszej śmierci druida, kiedy wojowniczką Qa wydrapała mu oczy, zmroziło go na myśl o tym, co druid będzie odczuwać po powrocie.

- Wiesz, że tam ból...

- Wiem – uciał szybko mężczyzna, przez jego twarz przewinął się cień strachu, lecz chwilę później zastąpiła go determinacja. – Świat pozbawiony jest równowagi. Być może będziemy czynnikiem, który zapoczątkuje zmianę na lepsze. Za to jestem gotów na bardzo wiele.

Obaj wrócili do reszty. Zastanawiali się nad przegnaniem, mową, która miała być może nakłonić innych jednak. Postanowili jednak pozostawić tę decyzję indywidualnym wyborem każdego z uczujących.

Bali się. Ich rozmowa była nerwowa, pełna wybuchów nieco panicznego śmiechu. Z każdą chwilą coraz mocniej zdawali sobie sprawę z tego co zamierzali zrobić. Przez większość rozmowy Mathlan zachowywał milczenie. Szukał wzrokiem ostatniej osoby, która powinna z nimi iść. Jednak nie mógł złowić jej wzrokiem.

- Panie i panowie, może byśmy się ruszyli, bo zdaje się, że Ingrein sama zaraz przejdzie przez Mgły – powiedział Kallan, który wrócił przed halli.

- Że co!? – rzuciła Aoife wstając od stołu.

Wszyscy wstali i pośpiesznie ruszyli do drzwi. Gdy wyszli z halli zobaczyli tylko zamykające się wrota.

- Cholera jasna, czemu nic nie powiedziała? – wycedził Sigbert, z tego co elf o nim wiedział było to podyktowane raczej troską, niż gniewem.

- Ruszajcie się szybciej – rzucił Mathlan przez ramię zbiegając po schodach. Reszta poszła w jego ślady, tuż pod bramą Venissa zmaterializowała się z obłoku cienia.

Stojący pod bramą anioł zatrzymał ich gestem ręki. W ich umysłach pojawiał się wizja egzystencji jaka ich czekała, ponurej tułaczki po świecie, na który już nie mogli wywierać wpływu, a który pełen był bólu i zimna. Z którego nie było odwrotu. Zapytał, czy się na to godzą. Wszyscy potwierdzili w myślach. Zakapturzona postać odsunęła się na bok wskazując im ręką odrzwia.

Mathlan pchnął ciężkie skrzydło. Ogarnęła go chłodna, szara mgła. Zamknął oczy, nie było już odwrotu.

Matko, pomóż nam.

Otworzył oczy, wyszli poza bramę.

\*\*\*

Było ciepło, pachniało ziołami i drewnem.

Ciekawy zapach, jak na zaświaty, pomyślała Ingraine. Chyba powinien być świt, ale nigdzie nie zauważyła słońca, nie było też nocy. Poza palisadowym ostrokołem widać było tylko mgłę. Wlepiała wzrok w białe kłęby, nasłuchując odgłosów.

Nie nie było słycać.

Nie widziała ich nigdzie wśród przekraczających tę bramę, nie widziała wśród uczujących w modwitowej halli. A przecież niemożliwe, aby Cahan i Kiara nie przeszli przez sąd Rega. Czym mogłyby bogom zawinić dziesięcioletnie dzieci... Wróc, Kiara miałyby już trzynaście... Cahan jedenaście. Gdyby żyły. Ale nie było ich tu. Albo więc zginęły jednak tam, na Sliabh Ard. Albo wciąż żyją.

Odruchowo, gestem, który towarzyszył jej przez ostatnie dwa lata, zacisnęła dłoń na puzderku, w którym nosiła ich warkoczyki.

Jeśli wrócisz, nie zobaczysz ich już. Nigdy.

Wiem. Pomyślała. Wiem. Ale jeśli wrócę, to po to, żeby uratować, co się da. Może coś jeszcze się da. Może nie wszystko stracone.

Po co? Dla Tryntu? Dla przyjaciela, który został? Dla zemsty?

Nie. To znaczy też. Ale dla nich. Dla Kiary i Cahana. Aby ich śmierć miała sens.

Nigdy nie będzie miała. Ale wciąż możesz próbować.

Ingraine zesłała powoli po drewnianych stopniach palisady. Plac był pusty, żwir chrzęścił pod stopami. Obiecała Brynjolfowi, że wróci. Wtedy, gdy odwróciła głowę, wbrew zakazowi czarnego anioła, zobaczyła padające na ziemię sztandary, Żelazną Koronę w rękach człowieka w pióropuszu. Zobaczyła pobladłą twarz swojego towarzysza, kiedy przyklęknął przez Qa. Widziała błękitny symbol, jak rozświecła blaskiem jego twarz, odczuła niemal fizycznie moc owego symbolu, pieczęci, naznaczenia. Za Brynjolfem uniosła się błękitna mgła, a w niej dostrzegła coś jak zarys mrocznych postaci.

Jeśli ja mu nie pomogę, nikt z żywych tego nie zdoła. A jeśli z wszystkich trzech opiekunów Korony polegnie ostatni... Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie, skoro korona jest w rękach wroga...

Nie wiem. Ale obiecałam mu, gdy namówiłam go do kapitulacji, gdy wystawiłam go na to upokorzenie. Poniósł konsekwencje tego, że my zostaliśmy bohaterami. Wszystko ma konsekwencje.

Poprawiła pas z mieczem i dociągnęła sprzączkę w mocowaniu tarczy. Zarzuciła na ramię płaszcz. Anioł przed bramą wciąż tam był gdy uchyliła ciężkie wierzaje.

Nie wrócisz już. Powiedział bezgłośnie. Nigdy nie zobaczysz swoich drogich zmarłych.

Wiem.

Będzie ci towarzyszył ból, jaki czułaś umierając. Nigdy nie minie. Wróci strach, ciemność i zimno. Dla żywych będziesz tylko cieniem i przez całą wieczność będziesz łaknąć ich ciepła i światła.

Widzieć będziesz więcej niż śmiertelni i wiedzieć więcej, także to, czego widzieć i wiedzieć nie chcesz. Każde działanie, by wpływać na żywych będzie wymagało wielkiej woli, bo znużenie będzie wciąż wzywać, aby się poddać, aby odejść w pustkę i przestać istnieć.

Nie zabije cię miecz ani magia, chyba że wielka moc, mroczna i straszna, która da ci ukojenie i odeśle w nicość. Odczuwać jednak będziesz ból, rany i strach.

Przez całą wieczność.

Ale najpierw musisz przejść Mgły.

Skinęła głową, na znak, że się zgadza. Wszystko ma konsekwencje. Kto mogąc wybrać wybiera zamiast domu gniazdo orła na skałach... Całe życie żyła wedle tych zasad. Niech umie spać, gdy źrenice czerwone od gromu. Poprawiła płaszcz i przestąpiła próg.

Wybaczcie mi. Nie zobaczymy się nigdy.

Mgła ogarnęła ją już kilka kroków za bramą. Ścieżka, bliźniaczo podobna do tej, prowadzącej z karczmy pod Silbrfjell, tonęła w obłoku już kilka metrów od niej. Wilgoć osiadła jej na włosach i rzęsach, płaszcz nie chronił od niej. Zadrżała. Samotność rodziła niepewność, niepewność – strach. Ścieżka zniknęła.

Ingraine odwróciła się, chcąc ujrzeć jeszcze raz bezpieczny zarys wartowni bramnej, ale nie było jej tam. Widziała tylko postać w kapturze, ponurą jak cmentarne rzeźby, których zresztą była pierwowzorem. Ścieżka rozmyła się w nieokreśloną przestrzeń, bez linii horyzontu, bez podziału na niebo i ziemię. Coś poruszyło się przed nią, gdy się obejrzała, dostrzegła zarysy postaci. Skupiła wzrok.

Serce skoczyło jej do gardła.

Biała koszula, zielony kilt. Herstein. Podnosi w górę róg, pełen wina. Wina, które mu sama podała... bo chciała go uchronić. Nie!!! Nie pij, nie...

Złudzenie rozwiało się, rozmyło, zostawiając znajome odczucie beznadziejnej rozpacz. Powinni byli wtedy ją zabić. Sigbert powinien był wykonać ten wyrok... Gdzieś na granicy myśli uchwyciła błysk uniesionej nad jej głową klingi własnego miecza. Wciągnęła powietrze w oczekiwaniu.

Cios nie padł. Błysk się rozmył, przechodząc w widok rozświetlonej słońcem równiny.

Gdzieś za plecami łopot sztandaru. Wysoka wieża ardeńskiego zamku nie rzuca cienia. Na jej szczycie powiewa złoty sztandar z gryfem.

Błada postać odwraca się ku niej. Zdradziłaś mnie, bezgłośnie mówi księżna Sigdrine, w rękach trzyma sztylet, po którym spływa krew z rozciętych nadgarstków.

Nie ma mowy, mówi Sigbert, towarzysz, dowódca, opiekun Korony. Powiedziałem, że nie ma mowy. Nie poddam się. Jego trupio biała twarz jest osmalona ogniem, rozcięty toporem bark wisi bezwładnie.

Ciało Brynjolfa spada po stromym górskim stoku, nad nim unosi się do cięcia krzywa samnijska szabla. Zaraz opadnie, zanurzy się w ciepłej krwi, ostatni z tych, którym powierzono Koronę, wykrwawi się w błocie.... Nie!!!

Co myśmy zrobili, mówi Mathlan, opadając na kolana. Z bezwładnych rąk wypadają skrypty z treścią rytuału. Co myśmy zrobili... Za jaką cenę... Sine usta skandują zaklęcie, ale nie ma w nim już żadnej mocy.

Nieludzki wrzask człowieka, któremu pazury wyrrywają oczy, a on nie może umrzeć. Druid przyciska dłoń do twarzy, krew i strzępki ciała spływają po zielonej szacie.

Dość, proszę... Dość. Już nie mogę.

Ingraine stanęła, patrząc w białą otchłań. Nie trafię, pomyślała. Nigdy nie trafię, strach ścisnął jej gardło. Wieczność to chyba długo. Wieczność wśród tych widziadeł...

Wzięłam na siebie coś ponad siły...

W białym obłoku zaczerniała jakaś ciemna przestrzeń. Ingraine zrobiła mimowolny krok i stanęła na krawędzi krateru. W nozdrzach odrodził się potworny smród palonych ciał. Pogorzeliśko na Sliabh Ard.

Opadła na kolana, łkając bezgłośnie.

Kłęby mgły wirowały, przeplatały się. Do uszu Tryntyjki dobiegł znajomy dźwięk. Kolejne koszmary, pomyślała. Dźwięk dud, wibrujący, niski. Uśmiechnęła się na widok znajomej postaci, której kształt dostrzegła wśród oparów. Fergu Duffson, zwany Strzałą. Odczekała chwilę, kiedy widziadło powinno zniknąć.

Ale nie zniknęło.

Za postacią dudziarza dostrzegła kolejne postaci. Powoli podniosła się z kolan.

- Mathlan... – szepnęła – Nie zostałeś?

- Miałbym puścić was samych? – elf uśmiechnął się oszczędnie – Ja nie rzucam słów na wiatr, Tryntyjko.

- Nie myślałam... Ale zdajesz sobie sprawę, że tracisz ... wieczność... co za obrzydliwy patos. Gdzieś za elfem cicho szcęknięła kolczuga.

- Eee tam.. po co komu wieczność jeśli można komuś wklepać i się przy tym dobrze bawić – Arden Stern poprawił uchwyt tarczy, uśmiechając się pod nosem.

- Nie było innej opcji - uśmiechnął się swoim charakterystycznym półuśmiechem Strzała, biorąc oddech przed kolejnym zadęciem w instrument.

- Nikłe szanse powodzenia, pewna śmierć - na co czekamy? – głos Kallana poprzedzał jego potężną postać. Szkarłatny płaszcz, pocięty onegdaj na bandaże, dumnie powiewał na jego ramieniu, chociaż nie było wiatru – No, brygada jak pod Arden, kurna chata...

- Nie poczekałaś – uśmiechnęła się z wyrzutem Inga zza jego pleców, poprawiając sukienkę – Ledwie cię dogoniliśmy.

- Inga... Widziałam Bryna przed chwilą... Spóźniliśmy się...

- To tylko emanacja twojego strachu i bólu, Ingraine – ciemnowłosa Venissa, poważna i smutna – Przyszłość jest ciągle otwarta. Musisz tylko przestać się bać.

- Ludzie z Przedgórza nie zrobili się chyba jacyś mięciutcy po śmierci? – kpiący głos Aoife szedł w parze z jej ironicznym uśmiechem, zielona szarfa jakoś wyraziście odcinała się od białej mgły.

- Nie bój się. Wciąż masz nas, nie? – niefrasobliwy głos Veli, jej złociste włosy i białe łączyisko łuku zlewały się z kolei z otoczeniem tak, że sama wyglądała nieco upiornie - Taki nasz obowiązek i w ogóle.

- Nie wiem, czy to coś zmienia, ale masz – druid uśmiechnął szeroko, jego oczy były zielone jak tunika, którą nosił – Zostało jeszcze coś do zrobienia. Trzeba domknąć pewne sprawy, których nie udało się załatwić za życia.

Dostrzegła za nimi czarną tarczę i cote na wergundzką modłę. Zaśmiała się bezgłośnie.

- Ty też, Sigbert?

- Dałem ci słowo, tak? Chociaż wiem, że będę tego żałował – Tryntyjczyk wyszczerzył się zawadiacko – Chwilowo żałuję, że nie skapitulowałem razem z Brynem i to nie ja czekam gdzieś tam wygodnie na ratunek, tylko muszę się przetarabaniać przez jakieś cholerne zimne mgły.

Ingraine uśmiechnęła się w milczeniu, bojąc się, że jak się odezwie, to rozplacze się do reszty.

- Cholernie dobrze was widzieć... – odetchnęła w końcu – Gdzie więc jest ta pieprzona ścieżka?

- Przez Mgły nie ma ścieżek – odezwał się Mathlan poważnie – Nie ma kierunków, ani odległości, nie ma przestrzeni. To, czy dotrzemy tam, gdzie chcemy i odnajdziemy tego, kogo szukamy, zależy tylko od siły naszej woli.

- Proszę, nie posądzałam cię o taką wiedzę o zaświatach...

- Znów mnie zatem nie doceniłaś – elf fuknął z udawaną irytacją – Ja generalnie wiem o wielu sprawach więcej niż ci się wydaje. Czekaj nas droga, która jest poza czasem i poza odległością.

- Skąd będziemy wiedzieć, że dotarliśmy...?

- Rozpoznasz – uciął lakonicznie Mathlan, odwracając się gwałtownie. Gdzieś za nimi rozległy się jakieś głosy, okrzyki brzmiące jak wojskowe rozkazy.

- Jeszcze ktoś? – zdziwił się Sigbert, bezwiednie poprawiając tarczę. We mgle rozległy się samnijskie piszczałki.

- Linia! – krzyknęła Ingraine odruchowo, a tarczownicy równie odruchowo stanęli obok siebie jeszcze zanim przebrzmiały jej słowa. Wyraźnie słyhać było tętent kopyt. Vela napięła łuk.

- Mathlan! – krzyknęła – Czy tu działają zaklęcia?

- Nie wiem, tego jak raz nie wiem....

- To się dowiedz!

- Cholera jasna... – wykrzyczana inkantacja odbiła się echem od czegoś, pewnie od tej mgły, energia popłynęła w przestrzeń. Zobaczyli zarysy postaci, wrogowie unieśli szable, byli o dwa kroki. Coś błysnęło i jeden zsunął się z konia, ale reszta szarżowała dalej – Działają! – wrzasnął Mathlan, ale było za późno. Tarczownicy zapanowali mocno na nogach, z bliska zapachniało mokrą końską sierścią...

- Gdzie oni są...? – szepnęła Venissa w przerażającej ciszy – Zniknęli...?

- Kolejne widziadło... – powiedziała Inga – Chyba musimy się przyzwyczaić, jak sądzę. To może polegać na sugestii. Materializuje się to, czego się boimy. Znaczący się, to jeszcze nie była materia, ale pewnie im bliżej będziemy granicy Mgieł, tym bardziej materialne mogą być widziadła.

- Niech będzie – mruknął Arden – Byle by nasze miecze też były materialne, wtedy możemy pogadać.

- Jak mamy go znaleźć?

- Co...?

- Bryna. Jak mamy go znaleźć – powtórzyła Ingraine, otrząsając się z widoku koszmaru, jaki wciąż miała przed oczami – I jak mamy mu pomóc w materialnym świecie...

- Może się mylę – powiedziała Venissa – ale ... to, że pozwolono nam wrócić, że odnaleźliśmy się wśród Mgieł i teraz, że wciąż mamy zmysły, wolę, siłę... Mogę się mylić, ale sądzę, że ktoś nam sprzyja. Nam, a może Brynjolfowi. To nie jest normalne, rozumiecie. Tak się raczej nie zdarza. Więc... Jeśli jest tak jak myślę, to może najlepszym pomysłem będzie... zaufać i iść dalej. W końcu dowiemy się, jak go znaleźć.

- Kapłanka może mieć rację – potwierdził elf – Nic lepszego zresztą zapewne nie wymyślimy.

- Świetnie – roześmiał się Sigbert – Więc jeszcze idziemy na oślepie....

- Oj nie jest tak źle - mruknął druid - Nie na oślepie, tylko za tobą, nie...?

- Jasne, nie jest źle - Tryntyjczyk uniósł brwi, poważniejąc - Kiedy ostatnio wami dowodziłem, wszyscy zginęliśmy, utraciliśmy sztandar i miecz oraz zawiedliśmy bogów to mamy wygraną w kieszeni...

- Weź się w garść - mruknęła Ingraine znad tarczy - Kiedy ostatnio dowodziłeś, to utrzymaliśmy się dość długo, by forteca plunęła ogniem, więc może i zginęliśmy, ale zadanie zostało wykonane. Taki efekt zaliczam do wygranych... Mimo wszystko.

- Zapada zmrok – szepnął druid – Mam nadzieję, że to zmrok, a nie moje oczy.

- To rzeczywiście zmrok – potwierdziła Vela – Co jest ciekawe, skoro nie ma słońca.

- „Wróci strach, ciemność i zimno” – mruknęła Ingraine powtarzając słowa czarnego anioła – Zbliżamy się....

\*\*\*

Ingrein miała rację, granica Mgieł była już niedaleko. Niestety Mathlan nie miał pojęcia, jak sama granica miała wyglądać, ani czy przejście jej było tak proste jak miał nadzieję. Wreszcie stanęli przed czymś, co wyglądało jak ściana nieprzeniknionej mgły. Opar był niezwykle ciężki, wirował i zmieniał się. Zdawał się tworzyć jakiegoś rodzaju wzory, lecz kiedy tylko oko zdołało złapać ich zarysy obraz się zmieniał, nie dając się uchwycić.

- Coś mi mówi, że to nie będzie miłe... – wydusił cicho Arden.

- Możliwe, ale musimy... – głos Venissy rozmył się gdzieś w świadomości elfa.

Podszedł do ściany Mgieł. Wszystko inne przestało istnieć, były tylko Mgły. Potężne, obeszładniające, fascynujące zjawisko. Elfowi zdawało się, że słyszy ciche szepty odbiegające z kurtyny oddzielającej światy. Zdawało się mu nawet, że może rozpoznać część z nich. Bryn krzyczący rozkazy, Elidis mówiący coś smutnym głosem, wyjący stepowe pieśni Samnijczycy. Wyciągnął rękę.

Dotknął delikatnej powierzchni kurtyny. Była niczym miękki, zimny jedwab, w którym zapadała się dłoń. Jednak elf wiedział, że to nie ściana jest zimna, a to co jest za nią.

Przebiegł go dreszcz. Owładnęło nim nieokreślone uczucie, pragnienie, nie mógł się mu oprzeć.

- Mathlan! – wrzasnęła Ingrein widząc jak elf znika w szarym obłoku, jednak jej głos nie mógł już do niego dotrzeć.

\*\*\*

Umysł Mathlana eksplodował w czysty chaos. A może to świat eksplodował wokół niego? Elf miał wrażenie, że spada lub raczej topi się w nieuchwytniej, jedwabistej substancji. Przez chwilę próbował desperacko się czegoś złapać. Wreszcie logika zdołała spętać jego wierzgającą świadomość i zmusić ją do pracy. Uspokoił się. Rozluźnił.

Nie było odwrotu.

Gdy zdołał się opanować uczucie spadania zniknęło. Spróbował się poruszyć, lecz nie mógł. Rozejrzał się, wokół nic nie było. Ani śladu po towarzyszach, czy drodze naprzód. Nic. Nagle z tej pustki wyłonił się kształt. Powoli kształt nabierał ostrości, zbliżał się.

Zawiodłeś – zadudniło w umyśle elfa, głos był znajomy, ale Mathlan nie mógł go przyporządkować osobie, a może nie chciał. – Zawiodłeś! – padło mocniej.

Kontury nabrały ostrości, Mathlan ze zgrozą spojrział na twarz Elidisa. Twarz na której lśnił błękitny symbol.

Byłeś słaby

Robiłem co mogłem, ja, nawet teraz...

Zbyt mało!!

Nie prawda, pomyślał elf, znam go, nigdy by tak nie powiedział. To tylko mara, ostatnia przeszkoda.

Nie jesteś nim. Elidis nigdy nie poddałby się Qa. Odejdź.

Zjawa zawały, znak zniknął, a w jego miejscu pojawiła się czerwona smuga krwi. Za zjawą pojawiły się kolejne. Sarell, Ochris, Refren, nawet Vela.

Zapłaciliśmy za twoje decyzje, za twoje błędy – powiedzieli chórem.

Za ich plecami pojawiło się płonące miasto. Leth Caer.

Wszyscy zapłacili za ciebie...

DOŚĆ! – Mathlan zerwał się z miejsca i biegiem rzucił w zjawy.

Postacie i płonące miasto zawirowały i rozmyły się, Mathlan poczuł jak upada na ziemię, twardą i zimną.

\*\*\*

Elf z trudem podniósł się do pionu. Jego mięśnie ledwie się go słuchały. Przenikało go zimno, całe ciało bolało. Wiedział, że tak będzie. Odzywały się rany z kontr-fortu. Owinął się ramionami. Odruch, nie mogło to w niczym pomóc. Rozejrzał się.

Stał na górskiej ścieżce. Jakims sposobem wiedział, że jest w pobliżu Silbrfiel. Wszystko wokół było ciemne, pozbawione koloru i wyblakłe. Cienie drzew wydłużały się nadając gałęziom wygląd szponiastych dłoni. Ścieżka wydawał się kręta i niebezpieczna. Spojrzał w górę. Niebo zasnutę było nienaturalnym, czarnym całunem, przez który ledwie przebijała się srebrzysta poświata Księżyca.

A więc była noc.

Dopiero teraz zrozumiał, że wokół nie ma żadnego z jego towarzyszy. Nie weszli jeszcze we Mgły? A może utknęli na wizji podobnej do jego?



Poczuł na sobie czyjś wzrok. Rozejrzał się. Czuł, że coś czaiło się w cieniach, na granicy wzroku. To mogło być tylko przeczucie związane z powrotem, ale elf za dobrze wiedział, że istnieją byty zdolne zranić nawet duchy. A ich szczególna grupka duchów miała na pieńku z jedną z takich istot.

Wizg konia.

Nie zastanawiał się już ani chwili dłużej, zerwał się do biegu.

Słyszał wokół siebie tętent kopyt, rżenie i wizgi koni. Ciężko było biec. Zimny wiatr ciał skórę jak ostrze, mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Nagle wiedziony instynktem rzucił się na bok wpadając w zagłębienie terenu. Wielki kształt przemknął drogą gdzie jeszcze chwilę temu stał elf.

- Co jest do... O cholera, Mat! – elf obrócił się gwałtownie, zobaczył twarze Ardena, Kallana i Venissy. – Co tu się odpięrdziła!?

- Cicho – syknął elf. – Musiało nas rzucić w różne miejsca jak przechodziliśmy. Ciekawe, to może być związane z czasem w jakim przeszliśmy przez Mgły, co oznaczałoby, że zjawiska z naszego świata, takie jak czas przenikają do świata bogów. To z kolei prowadzi do wniosku...

- Mat, kurna, streszczaj się.

- A tak... Wybacz. Podejrzewam, że reszta będzie gdzieś w okolicy tej ścieżki, zapewne przed nami. Najwyraźniej przejście przesuwa się teraz wzdłuż niej.

- A to coś na drodze? – dodała Venissa znad tarczy.

- Podejrzewam, że to nasi samnijscy przyjaciele – powiedział elf z pełną powagą.

- Mori Khan? – zapytał Kallan.

- Nie wiem. Wiem za to, że trzeba się ruszyć.

Wstali najciszej jak tylko umieli i ruszyli drogą. Kallan z Ardenem trzymali przód, za nimi szedł mag, na końcu Venissa. Kilkanaście metrów dalej znaleźli Aoife i Strzałę leżących na skraju drogi. Mathlan podbiegł do nich.

- Co im jest?

- Jeszcze nie wiem...

Ciała, czy może raczej dusze, Tryntyjczyków tętniły od obcej energii, wrogiej energii. Ta moc rozcinała ich fizyczne formy, tworząc wyrwy przez które sączyła się energia samych zjaw. Tak wyglądało to z magicznego punktu widzenia. Dla zwykłego człowieka wyglądałoby po prostu na rannych. Konkretnie stratowanych. Mathlan gorączkowo szukał sposobu by im pomóc, wreszcie uderzyła go oczywistość. Skoro wyglądali na rannych, być może zdoła ich wyleczyć, jak kiedy byli śmiertelni. Przyłożył rękę do ramienia Strzały, wyszeptał formułę. Żłocisty blask spłynął po jego dłoni, Tryntyjczyk głośno zaczerpnął powietrza. Mathlan natychmiast powtórzył zaklęcie na Aoife.

- Wiecie gdzie reszta? – zapytał elf, biorąc pod uwagę ich obrażenia pytanie co się stało było niepotrzebne.

- Są... – Strzała zacharczał, jakby miał przebite trzewia, wspomnienie ran. – Są dalej, to coś nas rozdzieliło...

- Dacie radę iść?

- Chyba tak – niepewnie zrobił krok.

- Dalej!

Ruszyli dalej ścieżką tak szybko jak tylko mogli. Ku ich przerażeniu w cieniach znów pojawiły się kształty galopujących koni. Pędziły ich przed sobą, nie mogli zwolnić, ani się zatrzymać. Wreszcie doszły ich dźwięki ludzkiego głosu. Nie napawały jednak nadzieją. Kilkadziesiąt metrów dalej znaleźli resztę.

Ingrein i Sigbert stali ramię w ramię zasłaniając się tarczami przed koniem, który raz po raz próbował powalić ich na ziemię. Stojąca dalej Vela szła z łuku w duchy kryjące się w lesie, pomagała jej Inga, która za pośrednictwem rytuału wyciągała duchy z ukrycia. Druid stał na środku i rzucał zaklęcia wzmacniające tarczowników. Duchy kłębiły się wokół walczących. Nie dało się ich policzyć,

gdyż raz po raz znikwały i pojawiały się w różnych miejscach. Jasne było, że ludzie nie wytrzymają takiej nawały.

Paladyni oraz ludzie Leifa szybko utworzyli na ścieżce klin. Ruszyli do szarży. Mathlan wykrzyknął formułę i powietrze przeciął słup złotej energii. Konie zaczęły wizgać i stawać dęba. Dwa runęły w dół znikając przed uderzeniem w ziemię. Klin wojowników wbił się między niematerialne zwierzęta. Widząc to Ingrein i Sigbert przeszli do ataku. Kolejne konie runęły na ziemię. Starcie trwało zaledwie kilka chwil. Kiedy duchy zaczęły tracić przewagę poczęły rzeć i stawać dębem, chwilę później rozplynęły się w nocnym powietrzu.

- Co... Co to, było!?! – wychrypiał Sigbert oparty o miecz.

- Mori Khan – odparła spokojnie Vela.

- Nie – spojrzeli się na elfa. – To były tylko poddane mu duchy – zapadła cisza.

- Jak mamy walczyć z czymś takim? – zapytał cicho Strzała.

- Tak samo jak walczyliśmy z Qa, szanse były podobne – wtrąciła Inga.

- Zauważyłaś, że przegraliśmy tamtą walkę? – powiedział z przekąsem Kallan.

- Mało śmieszne – syknęła Inga.

- Dość! – przerwał Sigbert, potoczył po nich spojrzeniem. – Przybyliśmy tu wiedząc, że to nasz ostatni bój. Jeżeli nie chcecie walczyć, niech tak będzie. Ja idę dalej, za Trynt.

- Za Trynt – powtórzyła Ingrein, a za nią każde z nich.

Ruszyli dalej ścieżką, a wokół nich cienie znów zaczęły gęstnieć i szeptać.